

# Zawartość cukru w cukrze

Grupa docelowa: Katecheci | Rodzaj nauki: Lektura | Tagi: [Katecheza](#)

Katecheza jest dla wierzących, dla tych, którzy wyznali, że Jezus jest Panem. Bez tego katechetyczne wysiłki na nic się zdają.

Jednym z epizodów dramatu, jaki przeżywa ukrywający się w damskim przebraniu bohater filmu *Poszukiwany, poszukiwana*, jest praca u człowieka zajmującego się domową produkcją bimbrową. Właściwa profesja pracodawcy pozostaje, oczywiście, głęboko zakonspirowana, a zajęcie głównej postaci filmu polega przede wszystkim na kupowaniu cukru. W odpowiedzi na pytania o sens tych zakupów właściciel mieszkania mówi, że... prowadzi badania naukowe nad zawartością cukru w cukrze.

To hasło – zawartość cukru w cukrze – jest także myślą przewodnią (i tytułem) poniższego tekstu. Artykuł nie traktuje jednak o polskim przemyśle cukrowym ani o nielegalnych gorzelnianach, ale o katechezie. Pomimo tak odmiennej tematyki tytuł ten nadaje się tu idealnie. Twierdzą bowiem, że rzeczywistość polskiej katechezy jest w swoich opisach mocno lukrowana, oraz że należałoby dać wreszcie odpowiedź na pytanie o zawartość katechezy w katechezie.

Wygasły już gorące dyskusje związane z wejściem religii do szkół. Śmieszne wydają się wygłaszane przed laty prorocтва o nietolerancji, wręcz krwawych prześladowaniach. Pospolite ruszenie katechetów, które trafiło w 1990 roku do szkół, zostało mocno przeczyszczone, a ci, co zostali, zdobyli odpowiednie kwalifikacje. Żaden z uczniów nie pamięta już, że kiedyś chodziło się do sałek przy kościele. Dla młodzieży katecheza i stanowi normalny element edukacyjnego krajobrazu. Zawrót głowy od sukcesów potęgują statystyki. Dla wielu szkół będzie to 100% uczniów deklarujących chęć uczęszczania na religię. Średnia wielu diecezji oscyluje wokół 99%. (Gorzej jest w dużych miastach, ale to nadal są bardzo dobre wyniki). Dodatkowym źródłem optymizmu ludzi Kościoła może być fakt, że dzięki katechezie w szkole dzieci mają więcej godzin religii, nauka zaczyna się od 1 września, a lekcje trwają od dzwonka do dzwonka. W salkach katechetycznych bywało z tym różnie.

Czy godzi się zatem czepiać tego pięknego, sielskiego obrazu? Godzi się, a nawet trzeba się czepiać, a zachętą niech stanie się powieść Jana Grzegorzcyka *Adieu. Przypadki księdza Grosera*.

Pojawienie się tej książki wywołało falę komentarzy, zachwytów i krytyk. Mnie jako księdzu jest ona bliska, gdyż czytam w niej o sobie – o wzlotach i upadkach. Bez lukru i bez złośliwości. Myślę, że warto na kanwie tej powieści zastanowić się nad kondycją szkolnej katechezy w Polsce. Wątek ten pojawia się w książce, kiedy ks. Groser przychodzi do nowej parafii. Ma być w niej rezydentem, obowiązki katechety sprawuje tu młody ksiądz Leszek Grajek. Jednak później w katechezę włączy się również Groser. Ich perypetie, a jednocześnie ich „filozofia” katechezy będzie ilustracją moich rozważań.

Chciałbym zaproponować pewną typologię szkolnej katechezy. Można ją zatytułować: Drogi i bezdroża szkolnej katechezy. Zarówno na drogach, jak i na bezdrożach wystąpią trzy ścieżki. Zaczniemy zatem od bezdroży. Pierwsza ścieżka (raczej bezdroże) i pierwszy typ to **katecheza jako walka**. Wyobraźmy sobie, że jest 1 września i katecheta przekracza próg szkoły. Spotyka się z uczniami i próbuje ich poznać. Może to zrobić na dwa sposoby: wziąć do ręki socjologiczne opracowania dotyczące młodzieży, ich świata wartości, religijności i moralności, po prostu z nimi być. W jednym i drugim przypadku włos może mu się zjeżyć na głowie: poprzestawiany świat wartości, wybiórczość w uznawaniu prawd wiary, lekkie traktowanie religijnych praktyk, negacja zasad moralnych. Dodajmy do tego niepoważne traktowanie przedmiotu, który nie wpływa na promocję ani na średnią ocen. Co wtedy robi katecheta? Wrząc Bożym gniewem, rusza na krucjatę. Wydaje wojnę uczniowskim poglądom i zachowaniom, próbuje ich wychować. Najlepiej szybko i na siłę. Czasami wyrazi się to we wrzasku: „jesteście bandą łobuzów... idiotów... heretyków... dzieciobójców...”. Bywa, że katecheta sięga po restrykcje (jedynki, prace domowe, skargi składane wychowawcy, rodzicom i dyrektorowi, niekiedy nawet przemoc). Czasem to może być także intelektualne zmiażdżenie ucznia. Ksiądz Tischner wspominał, jak u początków swojego duszpasterstwa zmiażdżył studentów konferencją na temat bodajże etyki seksualnej. Jedna z osób, stojąca z tyłu kościoła, wyszła i... już więcej tu nie wróciła. To wydarzenie dobrze ilustruje, jakie są skutki katechezy jako walki.

Na katechezie księdza Grosera powstało jakiś zamieszanie. Spojrzenia wszystkich powędrowały do ostatniej ławki. Siedział w niej chłopak z miną wodza indiańskiego. Z uszu zwisały mu nadmuchane prezerwatywy pomalowane we wzorki pisakami. Wacław (...) odczekał, aż przycichną śmiechy, i spokojnie zwrócił się do dowcipnisia. – Ładnie, ale mamusia cię nie nauczyła, gdzie się to zakłada? – Dzika salwa śmiechu uderzyła w Indianina (s. 141-142).

Wielu pogratulowałoby sobie takiej odzywki. Ona byłaby nawet do przyjęcia, gdyby adresat odebrał ją jako żart i umiał roześmiać się z samego siebie. W tej sytuacji jednak Groser „zdał sobie sprawę, że tym jednym zdaniem przegrał. (...) [Indianin] zgarnął plecaczek i demonstracyjnie wyszedł z klasy” (s. 142).

Owoce katechezy jako walki jest zerwanie więzi. Katecheta może wywalczyć spokój na lekcji, może nawet uzyskać potoki pięknie brzmiących prawd płynących z ust uczniów („a niech tam, niech usłyszy, co chce, będę miał święty spokój”) i otrzymać nagrodę dyrektora i pochwałę proboszcza. Ale on przecież powinien być specjalistą od budowania więzi (religio), a tej nie zbuduje się za pomocą walki. W walce można przeciwnika pokonać, ale nigdy nawrócić.

Warto tu dodać, że również uczniowie sięgają po swoją broń. Spóźnianie się, spadanie z krzesel, pytania nie na temat, ciągły kaszel. Albo środki dużo bardziej drastyczne: bierny opór, otwarty bunt, pyskówki, wyzwiska, przemoc... Katecheta wcale nie musi tej wojny „wygrać” – wchodzi wtedy na dwie inne ścieżki: golgoty lub zawieszenia broni (to znaczy: zgniłego kompromisu).

**Katecheza jako golgota** to sytuacja, w której katecheta się poddał. Wyrwano mu ster z ręki, nie panuje nad klasą, nie ma możliwości zrobienia czegokolwiek. Mała grupa uczniów, a nawet jakaś silna osobowość w pojedynkę może pokrzyżować wszelkie jego plany i zamiary – kompletnie rozwalić lekcję. Katecheta czuje wtedy bezradność, swą małą wartość, boi się iść na lekcje, ma poczucie klęski. Jeśli potrafi tę sytuację przeżyć z wiarą i ofiarować za uczniów swój krzyż – jest w tym jakaś nadprzyrodzona wartość. Częściej jednak spotkać można poczucie bezsensu. Wkrada się myślenie, że „wszystkie moje wysiłki są zmarnowane”, „dlaczego mam się wysilać? W imię czego mam się angażować, przygotowywać do zajęć? Dla kogo?!”.

Golgota to przypadek księdza Leszka i jego 3f:

To nie jest zwykły stres. Ja się po prostu panicznie boję chodzić do szkoły. Czuję się jak żołnierz na froncie. Tylko że jestem sam, a naprzeciw siedzi cała armia. (...) Raz mi przynieśli „Fakty i Mity” i spytali, czy chcę sobie poczytać. Nie wiem, jak reagować w takich sytuacjach. Co bym nie zrobił, to czuję, że oni się ze mnie śmieją. (...) Ja już więcej tam nie pójdę. Czego ja ich mogę nauczyć? Przecież oni się z nas śmieją. Śmieją się ze wszystkiego. Mają w dupie nas i to, co mówimy (s. 98-99).

Od paru tygodni Leszek chodził do szkoły tylko z jedną myślą: przeżyć 3f. (...) Wszędzie dawał sobie jakoś radę, tylko ta jedna przeklęta klasa była jak góra, która mu wszystko przesłania i na którą nie potrafi się wspiąć. Przynajmniej bez szklaneczki whisky. Sam zdawał sobie sprawę z faktu, że popada w obsesję. Ale co z tego, że zdawał sobie sprawę? Obsesja od tej świadomości nie zniknęła (s. 113).

I szczyt golgoty:

Próbował zachować opanowanie, uśmiechniętą twarz. Ktoś trącił go prowokacyjnie. Nie zwrócił uwagi, przeszli. Za chwilę dobiegł go krzyk, wynaturzony, z ust przykrytych ręką, chrypiący (...). Odwrócił się instynktownie. Salwa śmiechu. (...) Zobaczył tylko anonimowy tłum rozbawionych uczniów. Grupa prowokatorów skryła się za rogami korytarza. Tłumiąc strach, odwrócił się. (...) Przed oczami wirowały mu czarne platy. Ledwo dotarł do plebanii (s. 113).

Innym bezdrożem jest **katecheza jako zawieszenie broni**: „Wy żyjcie ze mną w zgodzie, a ja będę żył z wami w zgodzie. Ja będę udawał, że was uczę, a wy będziecie udawać, że się uczycie. Ja poczytam gazetę, a wy poodrabiajcie sobie lekcje. Piętnaście minut dla mnie, reszta dla was”.

Nie potępiam tych katechetów; wątpię, by te postawy wynikały z wyrachowania czy cynizmu. Chodzi tu o prostą sprawę – walka wyczerpuje, a cierpieć nikt nie chce. Jeśli zatem nie kruczata i nie golgota, to pozostaje zgniły kompromis. Katecheta ma wtedy trochę wytchnienia – nikt na przykład nie opluje mu pleców na korytarzu. Pozostaje jednak sumienie, które wyrzuca, że coś się sprzedało, że coś jest nie tak. Bywa więc, że katecheta znowu rusza na wojnę, bywa, że znowu idzie na krzyż...

Raz jeszcze oddajmy głos księdzu Leszkowi:

Marcin zapytał mnie, czy wiem, jak poznać kleryków z Poznania. Wzruszyłem ramionami. „Nie” – odparłem, choć wiedziałem, że to podpucha. „Po tym, że sutannę mają zapinaną z tyłu”. Zaśmiałem się. Chciałem pokazać, że jestem z nimi. W nagrodę opowiedzieli mi kolejne dwa dowcipy. I poczułem wtedy momentalnie obrzydzenie do siebie. Jakbym się zaparł czegoś, ale nie wiem czego. Czułem się jak zdrajca... (s. 108).

Te trzy ścieżki – walkę, golgotę i zawieszenie broni – zaliczam do bezdroży, gdyż mimo iż są często uczęszczane, do niczego nie prowadzą.

Jakie są zatem drogi katechezy? Pierwsza z nich to **katecheza jako spotkanie**. Nie przymykając oczu na grzechy młodych, katecheta chce z nimi nawiązać dialog, jakąś nić porozumienia. Jeśli ma to być coś więcej niż socjotechniczna sztuczka, wymaga to od niego zaangażowania, otwartości, życzliwości, dobrze rozumianej tolerancji i cierpliwości. Spotkanie wymaga obecności dwóch stron. Podobne predyspozycje, przynajmniej w załączku, powinny istnieć i w klasie. Życie podpowiada, że to trudne, ale jednak możliwe – nawet w 3f. Cała sprawa polega na tym, że spotkanie z uczniem może nastąpić jedynie w tym punkcie, w którym ten uczeń właśnie się znajduje. To jest to, czym on żyje, co obejrzał wczoraj w telewizji, to jego muzyka i książki. Chciałoby się może zacząć od obłoków i od Pana Boga, a trzeba często zejść do rynsztoku. Schodzimy tam nie dlatego, że jest ładnie, ale dlatego, że tam jest nasz uczeń, którego chcemy stamtąd wyprowadzić. Stąd zabiegi Grosera, żeby wyjść naprzeciw zainteresowaniom uczniów, odpowiadać na ich prowokacyjne pytania. To dlatego zaprosił perkusistę „Skaldów” Jana Budziaszka i planował zapraszać innych, którzy mogliby mu pomóc nawiązać kontakt z młodzieżą. To w czasie lekcji z nawróconym perkusistą wydarza się coś ważnego: „A co z narkotykami? Artyści mówią, że dzięki nim docierają do swego wnętrza – spytał Darek, który do tej pory **nigdy się nie odzywał**” (s. 217; zaznaczenie zpm). To odezwanie się (po raz pierwszy!) jest może najlepszą ilustracją tego, o co chodzi w katechezie jako spotkaniu. Ten sam Darek przyznaje się pod koniec książki do swojej niewiary, wyznaje swoje nawrócenie i... pragnienie wstąpienia do seminarium. Czy nie warto było zejść do rynsztoku? Trzeba jednak zaznaczyć, że katecheza jako spotkanie to sztuka. Łatwo ją pomylić z kompromisem, łatwo stracić cierpliwość. Trzeba dużo pracy i szczególnych zdolności. Nić porozumienia z uczniami jest bardzo cienka. Nietrudno związać ich ze sobą, zasłonić sobą Pana Boga. Nie myli się jednak tylko ten, kto nic nie robi.

Można powiedzieć, że tak rozumiane spotkanie w sposób naturalny zmierza do **katechezy jako ewangelizacji**, której fundamentem ma być więź, jaka powinna łączyć katechizowanego z Jezusem. Katecheza jest dla wierzących, dla tych, którzy wyznali, że Jezus jest Panem. Bez tego katechetyczne wysiłki na nic się zdają.

Katecheci, widząc wśród uczniów praktyczne pogaństwo, rezygnują z pewnych tematów albo w ogóle odkładają podręcznik – zaczynają mówić o sprawach podstawowych, głosić kerygmat. Z jakim skutkiem? Najczęściej bardzo skromnym, ale czy mają inne wyjście? Ten typ katechezy stanowi krok w stronę Pana Boga, ale nie jest to jeszcze właściwa katecheza.

Przejdźmy zatem do **katechezy jako katechezy**. Nie jest to wcale masło maślane. Katecheza w sensie teologicznym to systematyczne wprowadzenie człowieka w całość prawd wiary, liturgii, modlitwy, to poznanie zasad moralności i życia wspólnotowego oraz budowanie postawy świadka. Pozostaje tylko zapytać, ile jest tej katechezy w katechezie szkolnej?

Przy omawianiu katechezy jako ewangelizacji i katechezy jako katechezy nie było żadnego cytatu z *Adieu*. Powód jest prosty – nie ma tam takich katechez. Pytanie o zawartość cukru w cukrze, o kształt polskiej katechezy, pozostaje otwarte.

Próbę odpowiedzi przynosi sondaż przeprowadzony przeze mnie wśród 171 katechetów gimnazjum. Rok temu, w trakcie warsztatów metodycznych zorganizowanych w pewnej diecezji (brali w nich udział niemal wszyscy katecheci gimnazjalni z tej diecezji – zarówno księża, jak i świeccy), przedstawiłem omówioną powyżej typologię katechezy, a następnie poprosiłem uczestników, żeby spróbowali odnaleźć w niej swoje własne doświadczenia katechetyczne. Każdy z nich miał w dowolny sposób rozdzielić 10 punktów (symbolizujących całość jego doświadczeń katechetycznych) pomiędzy sześć typów katechezy: walkę, golgotę, zawieszenie broni, spotkanie, ewangelizację i właściwą katechezę.

Najwięcej punktów uzyskały: katecheza jako spotkanie (24,27%), jako ewangelizacja (24,04%) i jako katecheza (21,75%). „Bezdroża” pozostały daleko w tyle: katecheza jako walka (13,10%), zawieszenie broni (9,82%) i golgota (7,02%).

Sumując wyniki „dróg szkolnej katechezy” (70,06%), można by powiedzieć, że nie jest źle. Do tej pory jednak mam przed oczami

kartkę, na której punkty podzielone były równo pomiędzy walkę i gólgotę. Trudno się cieszyć, mając świadomość ludzkich dramatów.

Spróbowałem na ową sondę spojrzeć także nieco inaczej. Ilu jest katechetów, którzy w ogóle nie doświadczają katechezy jako katechezy (tacy stosowną rubrykę pozostawili pustą!)? 19,88%. A ilu takich, którzy jeśli nawet ją mają, to w stopniu minimalnym (ci w odpowiednią rubrykę wpisali 0 albo 1)? 42,53%. Zaledwie 14,04% katechetów w rubryce „katecheza jako katecheza” wpisało 5 lub więcej punktów.

U 49,12% ankietowanych znalazłem przynajmniej 1 punkt w rubryce „katecheza jako gólgota” – to znaczy, że tylu (w mniejszym lub większym stopniu) doświadczają na swoich lekcjach owej „drogi przez mękę”. Natomiast aż 64,91% wpisało co najmniej 1 punkt w rubrykę „katecheza jako walka”.

Najpierw uwaga dotycząca rzetelności uzyskanych wyników. Sonda była anonimowa, jednak nie sposób wykluczyć, że jakaś część katechetów mogła nieco podkoloryzować swoje osiągnięcia. Sytuacja może być zatem nieco gorsza.

Analizując liczby, można powiedzieć, że ponad połowa katechetów przeżywa na niektórych swoich lekcjach walkę i porażki. Mam wrażenie, że Bardzo poważna część sił katechety idzie na utrzymanie spokoju (przetrwanie do dzwonka) ze szkodą dla samej lekcji. Trudno powiedzieć, jak bardzo stres związany z pewnymi klasami czy uczniami wpływa na całość pracy. Może to mieć tak drastyczny przebieg jak w przypadku księdza Leszka: „Niekiedy rano przed szkołą szklaneczka [whisky] na odwagę, wieczorem na odprężenie” (s. 97). Na końcu była próba samobójcza. Wielu katechetów wypala się zawodowo w mniej spektakularny sposób: odchodzi na urlopy zdrowotne czy mając dość ciągłego stresu, porzuca ten zawód. Żał, że są wśród nich naprawdę dobrzy katecheci.

Wśród katechetów panuje przerażająca bezradność, jeśli chodzi o problem dyscypliny. Składają się na to: słabość psychiki, brak odpowiedniego przygotowania w ramach studiów, ale też brak odpowiednich instrumentów prawnych. Oto przykład zaczerpnięty z Adieu.

Na lekcji u Grosera skoczyły do siebie dwie dziewczyny:

– A może powiesz, po co ty tu przyłazisz, skoro tak nienawidzisz Kościoła? – wobec milczenia księdza Joanna wzięła na siebie ciężar obrony.

– Bo mam takie prawo... Bo mój ojciec płaci podatki, które idą na pensje dla katechetów...

Przeciwniczka Joanny miała rację. Można być niewierzącym, można być praktykującym satanistą, można przychodzić na religię tylko po to, żeby dokuczyć katechecie i... ma się do tego pełne prawo. Katecheta nie może nikogo wywalić na korytarz (zabrania mu tego prawo), nie może zostawić na drugi rok, czasem nie może nawet obniżyć oceny (bo ocenia się wiadomości, a te mogą być opanowane w stopniu znakomitym), nie może nikogo skreślić z listy uczniów. Dzieje się tak dlatego, że stosowne rozwiązania prawne, przyjęte przez Episkopat i MENIS, mówią wyraźnie, iż o udziale w katechezie decydują rodzice lub sam uczeń.

Można powiedzieć (sformułujmy to radykalnie, by usłyszało więcej osób!), że polska katecheza w szkole jest nieewangeliczna i nieeklezyjalna. Pan Jezus mówi do wszystkich: idź za mną, ale każe także brać swój krzyż – przyjąć wymagania, zasady, pewien porządek. Tradycja Kościoła, zwłaszcza złoty czas katechumenatu rzymskiego pokazuje, jak bez pardonu odmawiano rozpoczęcia katechezy (a co dopiero mówić o chrzcie) tym, którzy nie przeżyli swojego nawrócenia, nie zmienili życia, nie porzucili pewnych zawodów. Zaiste, Hipolit Rzymski<sup>1</sup>, patrząc na to, co się dzieje w naszych szkołach, przewraca się w grobie.

Druga sprawa dotyczy nadmiernego, moim zdaniem, optymizmu. Mam w ręku dwa podręczniki do nowego liceum.

Przygotowane przez różne ośrodki noszą tytuły: *Jestem świadkiem Chrystusa w Kościele* oraz *Świadek Chrystusa w Kościele*. Zbieżność tytułów nie zaskakuje, jeśli się wie, że oba podręczniki są oparte na wspólnej podstawie programowej. Świadectwo jest bowiem ukoronowaniem pewnego rozwoju dokonującego się przez etapy edukacyjne klas I-III, IV-VI i gimnazjum. Jest to logiczne, ale przy założeniu bezproblemowego procesu katechizowania. Wydaje się jednak, że często gdzieś w gimnazjum przychodzi załamanie. Z doświadczeń wielu katechetów, z którymi rozmawiałem, wynika, że bardzo trudne jest podejmowanie w liceum tematyki świadectwa. Po prostu coraz większej grupie uczniów w liceum potrzebna jest ewangelizacja. W tym kontekście katecheza świadka Chrystusa wydaje mi się pomyślana trochę na wyrost. Osobiście skłaniałbym się nawet do wniosku, że polska szkoła to teren misyjny.

Nie muszę dodawać, że jestem zwolennikiem katechezy w szkole. To wielka szansa, zadanie dane nam od Boga. Potrzebne jest jednak trzeźwiejsze spojrzenie na jej rzeczywistość, żeby znaleźć bardziej właściwe jej formy.

**ZBIGNIEW PAWEŁ MACIEJEWSKI**, prezbiter od 1990 r., wikariusz parafii Matki Bożej Królowej Polski w Mławie. Publikuje pomoce dla katechetów, prowadzi warsztaty metodyczne.

---

Przypisy:

1. W starożytności samo dopuszczenie do katechumenatu (czyli przyjęcie na katechezę) już oznaczało dokonanie selekcji spośród kandydatów. Por. Hipolit Rzymski. *Tradycja Apostolska*, w: *Antologia literatury patrystycznej*, tom 1, red. M. Michalski, Warszawa 1975, s. 309.

---

Wydrukowano z serwisu [lutownica.dominikanie.pl](http://lutownica.dominikanie.pl). | Zrób to po swojemu i napisz jak Ci wyszło.